



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

### KSIĄŻKI DZIECINNE.

Tegoroczna Gwiazda nie przynosi młodym czytelnikom zbyt obfitego plonu nowości literackich i zapytać trzeba: czyby to zapasy dawne tak zaległy półki księgarskie, że ruch wydawniczy w tym kierunku zmniejszy się musiał? Wprawdzie widzimy i wydania drugie, jak naprzykład: *Rozbitków Raynał'a*, książki bardzo zajmującej, z doświadczeniami drzeworytami, i *Podróży naukowej po pokoju Wagner'a*, także dobrej, pożytecznej rzeczy, która młodego czytelnika wiele nauczyć może, i to bez żadnego naukowego przymusu, jedynie zaciekawiając przez umiejętne zwrócenie uwagi na przedmioty i zjawiska codzien, tuż obok siebie widziane, a jednak jakgdyby nie widziane wcale, bo nie poznane, nie badane w przyczynach swoich. Ale jedna z tych książek przełożona z francuskiego, druga z niemieckiego, co interes nasz znacznie obniża, bo w każdym dziale piśmiennictwa tylko przekłady utworów najcenniejszych, klasycznych, mają znaczenie rzeczywiście literackie, jako wiążące pojedyncze narody z ogólnym rozwojem myśli ludzkiej. Ale tłómaczenia rzeczy zwyczajnych, choćby dobrych, bynajmniej literatury nie wzbogacają, a nawet często przynoszą jej szkodę, jak tu właśnie, bo młode umysły, przeważnie karmione utworami obcymi, żyją zbyt często przez odbierane ztąd wrażenia w świecie nieswoim — i to nie przez miejscowość nawet, nie przez to, że im ciągle obce nazwiska w uszach brzęczą, kosmopolityzując niejako myśli młodzieńskie. Jest tu jeszcze coś innego, co źle na dziecko działa, często w stopniu bardzo wysokim: duch narodowy, narodowych potrzeb wyraz, żyje, żyć musi mniej więcej w każdym pisarzu, którego pojęcia spo-

czne, moralne urabiają się pod wrażeniami otrzymanymi przez ruch życia i interesów społeczeństwa swego, co musi następnie nadawać koloryt właściwy jego poglądom i pojęciom. Otóż dziecko, to jest człowiek rosnący, nie może w chwili najważniejszej kształtowania się tak umyślnie, jak charakterem, dostawać za pokarm moralny wyrobu idei cudzej, bez szkody ogromnej dla idei swojskiej. Każdy myślący pedagog zgodzi się z tem zdaniem niewątpliwie, choć ogółowi publiczności może się to nie dać tak łatwo uchwycić, lecz właśnie za przykład posłużyć nam może jedna z nowości tłómaczonych, a wchodzących w skład wydawnictw p. Höseicka: *Biblioteki dla młodzieży: Robinson Meksykański*, przez Th. Bade, zapewne amerykańskiego pisarza. Jest to opis podróży i przygód karawany, a raczej bandy ciągnącej wskrós malowniczych krain Meksyku, a między któremi jedną z najglówniejszych postaci jest: *Strzelec skalpujący*, to jest łowiec Indyan, na ich sposób dziki odzierający głowy pochwyconych w moc swoje, ze skóry wraz z włosami. Człowiek ten jest w służbie tych okrutnych łowców Indyan, których ludność napływała tak chce usunąć z oczyszczonej ich krainy, jak my, naprzykład, usuwamy sobie niewygodne dla nas wilki lub niedźwiedzie, z przyczyny, że przybysze, handlarze i awanturnicy, chcą tu panować spokojnie, a nieszczęśliwe ludy krajowców bronią siedzib swoich rozpacznie i już mściwie, namiętnie. Dla uczynienia postaci tej więcej zajmującą, płacze koło niej autor jakąś tkaninę bajki romantycznej, że jest to ojciec, szukający dzieci porwanych mu niegdyś przez Indyan. Świeczka to postawiona poczuciu moralnemu, które się mimowoli oburza, świeczka to postawiona też niby zmysłowi pedagogicznemu i załatwiwszy się z tem, autor rozłącza swobodnie na tle wspaniałej przyrody Meksyku bolesne obrazy mordów i odwetów krwawych, sprawiających wrażenie aż rażąco przykre, a pedagogicznie tem gorsze, że położenia są dwuznaczne i przez wspo-

mnianą fabułę zagubionych dzieci tak nieszczęśliwie zamroczone pod względem podstaw moralnych, że młody czytelnik nie wie, gdzie ma zwrócić sympatyę swoje, i czy dać je tym nieszczęśliwym ludom czerwonoskórym, tępiącym, szczwanym, tropionym aż do ostatnich ich ochron: ruin z ich przeszłej wielkości pozostałych, czy tym cywilizowanym niby, zdobywcom srogim i okrutnym jak hyeny, którzy jednak w reszcie uczuć swych ludzkich, zostają często dotknięci i cierpią również. Wprawdzie tłómacz, który widocznie czuje to i rozumie tak jak my, w bardzo pięknej przedmowie, napisanej tak jak i przekład cały językiem barwnym i potoczystym, chce błędy książki naprawić i pisze: „Czytelnicy moi, ilekroć przyjdzie wam czytać krwawe dzieje Meksyku, oburzajcie się na krzywdy, wyrządzone „czerwonoskórym“, krzywdy, których żadne hasło cywilizacyjne usprawiedliwić nie jest zdolny“. Ale to uczciwe usiłowanie już zamierzonego skutku odnieść nie może, bo autor z rodu tych drapieżnych zdobywców, których Irlandya pod nazwą Sassenachów przeklina, których apostołstwo wśród nieszczęśliwych ludów Słowian zachodnich, ukazał nam pędzel Gersona, inaczej już na przedstawionym przez siebie obrazach rozproszdził światło i cienie.

Jednym słowem pisze to Amerykanin, czy angielski Amerykanów stronnik, o czem jednak z innych względów, ze względów pedagogicznych, wątpię—pod wpływem interesów i namiętności swego społeczeństwa pisze książkę sofistyczną, a która wyszedłszy całkowicie z myśli amerykańskiej, spiera się najmocniej z myślą europejską, zwłaszcza z myślą naszą i młodzi naszej, tylko złe zamieszanie pojęć dać może. Tłómacz, ogłaszając zaraz na karcie pierwszej, że przedmowa jest oryginalną, zastrzega się niejako przed współnictwem z pojęciami książki, która też jest w takim razie, jak koniecznie wnosić trzeba, spekulacją wydawniczą.

Jest ona spekulacją i towarem wchodowym tak dalece, że nawet druk i papier nie nasze. Druk (patrz ostatnią stronicę katalogu) jest czciońkami Rödera w Lipsku, i do tej książki dopłaciliśmy tylko wszystkie ten grosz, którego nasza papiernia, nasz zecer i introligator nie zarobili; a który wyszedł z kraju do Niemiec. Jeżeli się w ten sposób drukuje czasem jakieś dzieło szczególnie ozdobnego wydania, na jakie u nas zdobyć się trudno, jeszcze tu coś usprawiedliwiać może, ale wydanie tak tylko porządne i przyzwoite, jak *Biblioteka dla młodzieży*, powinna być w kraju drukowaną.

Ale tu jest spekulacją nawet sam tytuł, który autor obmyślił zrecznie na przywabienie czytelnika sztuczką iście amerykańską, a każącą się domyślać jakiejś łączności jego książki z klasycznym w swoim rodzaju utworem: *Robinson Crusoe*. Lecz niema tu nic podobnego, nic zgoła; niema bynajmniej, jak się spodziewamy biorąc rzecz do ręki, jakiegoś biednego samotnika, zapędzonego siłą wypadków w stepy, lasy czy góry, lub te tajemnicze ruiny meksykańskie, które obecnie tak zajmują się podróżnicy i zarazem rozbudzona wyobraźnia nasza. Robinson to imię własne, tak jak Piotr, Paweł lub Pafnucy i ten Robinson, o którym tu mowa, to jedna z osób, którą spotykamy w bandzie *Strzelca skalpującego*, a który ostatecznie żeni się z jego córką i wszystkie mordy, zbrodnie zostają szczęśliwie zapomniane, jak krew z rąk obmyta i zaczyna się słodka sielanka rodzinna na łonie pięknej natury, tylko dwóch bliższych przyjaciół i towarzyszy pana młodego i jego teścia idzie sobie dalej polować na ludzi, bo „byli nadto niepokojnego ducha, aby chcieć spoczywać i kontentować się cichem życiem w nowej osadzie“.

W tłumie przekładów, takie to rzeczy wciskają się do nas, dostają się na czytanie naszej młodzieży, a nieszczęśliwym zrzędzeniem losu w *Bibliotece dla młodzieży* p. Höicka wyszła w tym roku tłumaczona książka jeszcze gorzej, bolesniej, wręcz już zadająca gwałt naszym uczuciom: *Dziewożęce losy*. Tu rzecz sama pod względem pedagogicznym bynajmniej nie zła, tylko za długa i ztąd nieco nudząca, bo są to *losy dziewożęce* pięciu aż dziewcząt; lecz jedna z tych pięciu bohaterki, przewzana z angielska: Daisy czyli stokrotka, będąca jednak z urodzenia Polką, córka polskiego ojca, na naszej ziemi zrodzona, Alexandra Leonśka, może polską czytelniczkę do łez żalu i oburzenia doprowadzić, gdy na słowo swoich towarzyszek Niemek, które jej mówią spokojnie i naturalnie wśród rozmowy: „jesteś cudzoziemką“, odpowiada: „Moja matka była Niemką i bardzo cnoty niemieckie cenila, i ja całym sercem Niemką jestem“.

I jest też Niemką; brat jej Konrad Leonśki, który po śmierci ojca, siostrę do Niemiec z kraju wywozi, jest również Niemiec, z Niemką się żeni, w Niemczech posiadłość kupuje i osiedla się w niej nazawsze; tylko, że na szczęście dla wrażeń naszych autorka nie kładzie mu przynajmniej w usta słów apostazy, odprzysiężenia się łączności z nami. Jakie uczucia budzić będzie ta książka, dostawszy się naprzykład w Poznańskie, na te kresy, gdzie ludzie, jak Chrystus w Ogrójcu, poją się krwawym potem w ciężkim odpięciu niemieczyny?

Dla samego biegu powieści, bynajmniej nie było potrzeby, aby jedna z bohaterki i jeden z bohaterów, nazywali się na *ski*. Autorce przyszło to tak snadź z nadmiaru patryotyzmu, chciała dać mimochodem scenkę zwycięstwa niemieckiej kultury i zrobiła ten flores literacki, jakim też jest epizod o pewnym chłopcu, spotkanym na kolei, który opowiada podróżnym, jak ojciec każe mu rąbać każdego, co mu chce coś złego zrobić, i on też zamierza rąbać każdego Francuza, a potem zaczyna śpiewać: „Wacht am Rhein“. Jedna z bohaterki książki, pragnęła malca, oświadczonego w dodatku, że będzie kiedyś Bismarckiem lub Moltkiem, na ręce porwać i do serca przycisnąć, ale uległa się jego dzielno-niemieckiej pięści. To przecież, co było u tamtej Niemki mimo pewnej przesady i grubości w wyrażeniu, uczuciem naturalnym i godziwym, uczuciem miłości rzeczy swoich, sprzecza się tak bardzo z naszym znowu uczuciem naturalnym i godziwym, tak je obraża i dotyka, że książka ta nie może, nie po-

winna dostawać się w ręce naszej młodzieży. W dodatku i język przekładu jest często wadliwy, niemieczny, żywcem wzięty, przypominający. Co to naprzykład jest popolsku: „pojedziemy się sankować“ (str. 122); albo ustawicznie powtarzające się: „leżeć na kolanach“, albo: „spróbuję znoście cierpliwie sposób bycia Frydy, albo: „Frydo! drażni mnie twój sposób bycia“. Drażni i mnie ten sposób bycia, powtarzający się kilkanaście razy, drażni mnie w dodatku obejście się (mówiąc popolsku) owej głównej bohaterki Frydy, przez której zachowatosć — nazywana też jest „tęm chłopcem“ — tak się zdaje przebijać poza i próżność jak przez dziury w płaszczu Sokratesowego ucznia. Z tego tylko jestem zadowolona, co między temi Niemkami niepolskiem mi się wydaje, a to wspomnienie o karach na pensyi „za bezimienne listy i bukiety“.

Dlaczego tłumaczka, która jest pierwszorzędną pisarką naszą: p. Anastazyja Dzieduszycka, nie usunęła bolesnego aktu apostazy dziecka polskiego? Jeżeli to jest tak wysoko pojęty obowiązek wierności przy przekładach, to dlaczego ta książka konieczne tłumaczona być musiała? Arcydzielnym bynajmniej nie jest, a przytem przekłady wolne istnieją we wszystkich literaturach, a w zakresie pedagogicznym przyjęte są ogólnie i nawet potrzebne. Tu chodziło o kilkadziesiąt wyrazów zmienionych, jeżeli książka już nieodpowiednie została uznana za potrzebną dla naszej literatury.

I te *Dziewożęce losy* uległy losowi drukowania w Lipsku, jak i inna jeszcze książka, wchodząca w skład *Biblioteki dla młodzieży: Historia powszechna w obrazach*, przekład p. Zajęczkowskiej. Tu przynajmniej rzecz jest dobra i dobrze przełożona.

Bardzo pięknie, choć również w Lipsku wydany jest zbiór poezyi z rozmaitych poetów, ułożony przez p. Wandę Żeleńską i ozdobiony rycinami Gersona. Wybór z dawnych naszych poetów jest dobrym dla młodych czytelników nabytkiem i jedna wybierającej zasługę, że dokonała go tak trafnie i starannie. Także wybór z poezyi Żmichowskiej najlepszy, jaki podano kiedy w zbiorach podobnych, szkoda tylko, że niema tu choć sylwetki szlachetnego oblicza poetki, którą Gerson byłby umiał odtworzyć.

Ta książka byłaby dobrem pomnożeniem wydawnictw Höicka, gdyby nie korrekta bardzo niedbała, gdyby nie mnóstwo błędów i omyłek druku, których nie obejmuje w całości długa i tak errata. Jeszcze w poezjach nowszych łatwiej sobie radzić, choć są takie błędy jak „świat wichrów“ zamiast: „świsł“, czego wykaz końcowy omyłek nie prostuje; ale tam, gdzie język i tok wiersza stary, młodym czytelnikom rzecz utrudnia, obniża to wartość książki niezmiernie, psuje ją niemal i czyni niezdadną do przechowania w zbiorze bibliotecznym. Gdyby nie drukowano tego w Lipsku, gdyby zecer, który to składał, i korektor znali język i muzykę jego rytmu czuli, nigdy-by to tak źle, tak bardzo źle, nie wyszło.

Wesoło się robi na sercu, gdy się bierze w rękę wybraną książkę, dla chłopców zwłaszcza: *Pamiętniki starego szlachcica*, które dla młodzieży według pierwowzoru ułożył Jerzy Laskarys, a wydał pan Maurycy Orgelbrand i w Warszawie u Braci Orgelbrandów wydrukował. Co to za zajmujące czytanie dla młodzieży, a nawet każdego, kto *Pamiętników* tych nie zna; jakie mekkie, zdrowe, ożywiające dla młodych umysłów wrażenie, a to tem więcej, że rozum pedagogiczny tego dobrego nauczyciela, Zaremby, który to dla uczniów swoich ułożył, umiał być uważnym i pilnym na naukę, jaką z wypadków przedstawionych można dla młodych czytelników wyciągnąć, aby była choć pewnym objaśnieniem, pewną wskazówką do poglądów na dzieje, jak to naprzykład spotykamy, przy najbardziej może zajmującym obrazku: Sawa Caliński. Nie wszystko jednak przy warunkach rozmaitych tego streszczenia zrobić można było, i aby nic z pożytku i przyjemności, jakie ta książka młodzi przynieść powinna, uronionem nie zostało; należy ojcu lub matce pierwsze choć obrazki z dziećmi przeczytać, albo lepiej może pierwsze czytanie poprzedzić lekcją, któraby rozjaśniła przed oczyma dziecka historyczne położenie chwili opisywanej: powiadomiła o tem naprzykład, co to była partya Stolnika Litewskiego i Czartoryskich,

co Massalsey i tak dalej. Aby naprzykład postać Wołodkiewicza nie wyszła na prostego awanturnika, aby i inne w prawdziwym świetle postawionemi zostały, wspomniana lekcya przedwstępna jest konieczną. Pan Laskarys skarbi sobie wdzięczność rodziców za tę pracę, dla ich dzieci podejmowaną: niechże więc i oni do tego dobrego dzieła którego on, jak może dokonywa, przyłożą się uczciwie i pilnie, aby razem wyszła rzecz całkowicie, a nie połowicznie dobra.

O drugim wydaniu *Pamiętników starego szlachcica* cheielibyśmy się na przyszły rok dowiedzieć, a teraz pytamy: czy *Pamiętniki Paska* nie potrzebują go przypadkiem, czy cała przeszłoroczna edycja nie została już wyczerpana? Jeżeli nie, to niechże rzecz stanie się w tym roku, niechże obie wspomniane książki rozejdą się pomiędzy młodzieżą, jako rzeczywiście dobra i wesoła *Gwiazdka*.

Nie przypadkowo napisałam: *wesoła a Gwiazdka*. Wiek młodociany nie może, nie powinien tonąć ciągle w poważnym namyśle, trzeba w nim czasem fantazją dzielną, wesołą, rzeźką rozbudzić, trzeba mu czoło czyste do góry podnieść i kazać śmiało, mężko w świat spojrzeć: „Młodości, ty nad poziomy wylatuj!“ to także pedagogiczna rada dla wychowawców, aby wspomagali dobrze i rozumnie tę potrzebę ruchu uczucia i uskrzydlenia myśli wyobraźni młodej.

(Dokończenie nastąpi)

## Pozytywizm w praktyce

POWIEŚĆ

przez

Sewera.

(Dalszy ciąg).

— Bawiąc się, ponosimy straty. Patrz pan, jak piękne jabłka zmarnowane — zawołała Zosia.

— Hanusiu, gdzie jest mój koszyczek? Zabawę zostawmy idealistom, kontemplacye marzycielom. Panie Kazimierzu, rącz mi podać spadłe jabłka; leżą tuż przy panu. Włóż je pan do koszyczka, tylko ostrożnie, aby się nie rozbiły.

Kazimierz wypełnił rozkaz.

— Jesteś pan gimnastykiem?

— Nie tak jeszcze dawno posiadałem w tym kierunku pewną sławę.

— Ach, jak to wybornie! Walenty, zejdz z drzewa, pan cię wyręczy.

— Zosiu — zawołała matka.

— A dlaczegożby nie — odparł, zsuwając się z drzewa Walenty. — Panicz, widzę, młody, to jak wiewiórka skoczy z gałęzi na gałąź, i nie obejrzy się, gdy dosięgnie wierzchołka. Dziękuję panusi, że przecie szanuje stare kości.

Kazimierz patrzył zdziwiony.

— Nie miałbyś pan odwagi — spytała Zosia.

Młody człowiek schwytał rękami gałąź, wyteżył siły i w dwóch skokach był już na drzewie.

— Brawo, brawo! — oto koszyk, gdy będzie pełnym, podasz mi go pan na żerdce, aby nie upadł. Tylko produkcyjna praca ma rację bytu.

— Moje dziecko, zapomniałaś o prawach gościnności — przerwała zapal dzie wczęciu matka.

— Właśnie w imię tych praw dałam p. Kazimierzowi sposobność wprowadzić w czyn jego zasady.

— Dziękuję pani — odpowiedział wesoło Kazimierz, obrywając jabłka.

— Inaczej nudziłby się, żałowałby zmarnowanego czasu...

— Lecz, aby praca mogła być produkcyjną, musi być wynagrodzoną — zrobiła uwagę matka.





spokojnie, skromnie — czoło ich promieni się myślą — uśmiech kwitła na ustach..“

Zapewne takie jest żądanie, zgadzamy się z p. Gréard'em — ale — to żądanie jest utopią, kiedy chodzi o ogół — o świat cały. A dodajmy, że tego się nie obywa na lekcjach takich matron, jak matka Michel albo Pawełek Mękarska...

W tem, co poprzedza, wspomnieliśmy o Epoce Odrodzenia z powodu wywłaszczenia kobiety, a raczej wydzielenia jej miejsca w społeczności odpowiedniego jej moralnym i fizycznym siłom. — Była to prawdziwa epoka odrodzenia dla ludzkości pod każdym względem — a pomniki literackie i artystyczne z owego czasu świadczą po dziś dzień, jak potężnym krokiem cywilizacya nasza posunęła się naprzód w tej epoce, jakby pełnego i ostatecznego rozkwitu umysłu ludzkiego. Wzmianka o tym świetnym okresie życia umysłowego ludzkości prowadzi nas do zastanowienia się na chwilę nad dziełami, które rozjaśnia i wyświeca dla nas jedną z najpiękniejszych stron tego odrodzenia, pod względem sztuk pięknych w XV i XVI wieku w Rzymie.

Ukazała się właśnie w tej chwili pierwsza część III tomu dzieła p. Eugeniusza Muntz'a, pod tytułem: *Sztuki piękne na Dworze Papieżkim w XV i XVI wieku (Les arts à la Cour du Pape, pendant le XV et le XVI Siècle)*. Zdaje mi się właściwą rzeczą pomówić obszerniej o tem dziele, o którego wartości naukowej można już dziś sądzić z zupełną znajomością rzeczy.

Wiadomo czytelnikom naszym, że Rzym był głównym polem, na którym przyjęło się łatwo i rozwinęło się szybko to, co w historii cywilizacyi nosi nazwę Odrodzenia (Renaissance).

Ten rozwój szybki był w części skutkiem wpływu świetnych wspomnień Rzymu i dochowanych świadectw jego przeszłej wielkości; ale w ogólności zawdzięcza się go osobistym usiłowaniom Papieży. Nie mamy jeszcze dotąd historii tego wpływu i tych usiłowań, a nawet, nie mamy i materiałów niezbędnych dla takiej pracy — te leżą niezebrane dotąd. Jedynym dziełem we względzie sztuki owego czasu, jakie posiadamy, jest znany światu „Vasari“. Ale niestety! Vasari, zaslepiony miłością własną, stronny i łatwo idący za pierwszym wrażeniem, nie jest wcale źródłem, na którym-by można polegać, z zupełnym zaufaniem i wiarą. W ostatnich czasach poszukiwania sumienne i poważne, jak n. p. p. Kajetana Milanesiego, że te wspomnę tylko, dopełniły wiele przerw i niedostatków, sprostowały wiele a wiele błędów, co się tyczy Odrodzenia Florenckiego i Toskańskiego; ale nic a nic nie uczyniono jeszcze dla Rzymu.

Od niedawnego czasu, bo zaledwie od lat dziesięciu, archiwa rzymskie, publiczne i prywatne, stały się dostępnymi dla poszukiwań uczonych pracowników. W ich liczbie p. Muntz skorzystał z możliwości tej z niezwykłym wytrwaniem, biegłością, z rzadką umiejętnością i powodzeniem, jakich mu nikt zaprzeczyć niemoże. Oto przeszło lat dziesięć, jak pisarz ten, poświęcił się ogromnej pracy, dziś już na ukończeniu prawie. Jego niezmiernie wielka działalność i wytrwałość otwarły mu wiele archiwów, nieznanych samemu Rzymianom nawet. Przedewszystkiem zbadał on gruntownie te nieocenione rachunki rozchodów Dworu Papieżkiego, przechowane w Archiwach Watykańskich, a dające niezbitą świadectwo rzeczywistości. Otóż te wszystkie świadectwa p. Eugeniusz Muntz zebrał i zestawił z każdym postanowieniem papieżkim, skoro w niem tylko chodziło o sztukę, z każdym dziełem sztuki i z każdym pontyfikatem.

Ogłosił on je prawie wszystkie, a przynajmniej część większą, w zupełnej, integralnej ich całości tekstu, tak, aby każdy z czytelników mógł zrobić z nich użytek, dla własnej swej pracy — nie zaniedbał wszakże osobistego ich roztrząsania i przedstawił w ogólnym streszczeniu, na początku każdego rozdziału, otrzymane wyniki. Można więc powiedzieć śmiało o tem dziele, że niema w niem ani jednej kartki, w którejby się nie znalazła jaka niewydana dotąd wiadomość, albo jakie nowe rozwiązanie trudnego zagadnienia.

Długi byłby spis tych wszystkich błędów, zdróżności, przyjętych dotąd ogólnie za dobrą monetę, na miejsce których dzieło to przynosi nam niezbitę pewniki. Z pomocą tego rodzaju informacyi, zaczerpniętych z najpewniejszych źródeł, można będzie przystąpić do napisania historii Odrodzenia artystycznego w Rzymie — rozważyć i ocenić sprawiedliwie wpływ, jaki wywarli na nią Papieże i arystokracja rzymska; jakoteż wpływ, jaki musiała wyrzucić obecność starożytnych pomników. Historia sztuk pięknych, napisana z pomocą takich źródeł, położy koniec, tym zaciekaniom się czeczmy i niepewnym, tym spostrzeżeniom bezzasadnym, tym wszystkim fałszywym systematom, które się wyradzają z taką łatwością, w danej dziedzinie naukowej.

Dzieło p. Muntz'a rozpoczyna się od pierwszych lat piętnastego wieku, wraz z pontyfikatem Marcina V. Tom pierwszy obejmuje panowanie Eugeniusza IV i Mikołaja V, fundatora Biblioteki Watykańskiej, Kalixta III i Piusa II, uczonego Eneasza Sylwiusza Piccolominiego. — Tom drugi jest poświęcony całemu Pawłowi II, temu prawdziwemu inicjatorowi potężnego ruchu umysłowego, który, poczęty za panowania Mikołaja V, dochodzi w pierwszych latach XVI wieku do całej swej wspaniałości, za rządów Juliusza II i Leona X.

Pierwsza część trzeciego tomu, którą właśnie mamy przed sobą, poświęcona jest panowaniu Syxtusa IV. To panowanie lat trzynastu (1471 do 1484), pozostawiło w Rzymie, co do historii sztuki, niezatarte ślady swojej wielkości. Do tej-to epoki należą, pod względem architektury świątyni, owe prawdziwe przybytki sztuki, noszące świetne imiona: *Najświętszej Panny del Popolo* i *Najświętszej Panny del Pace*. Syxtus IV wznosił również ten wielki szpital, znany dziś pod nazwiskiem: *Di santo Spirito in Sassia*; ozdobiony długim rzędem malowideł *alfresco*, na nieszczęście uszkodzonych po większej części i bez nazwiska malarzy... On to kazał zbudować i ozdobić sławną kaplicę Sykstyńską, długi czas przypisywaną mylnie, równie jak wiele innych gmachów w Rzymie, na wiarę Vasarego, budownicemu nazwiskiem Baccio Pontelli; kiedy w rzeczywistości budował ją Giovannino de'Dolci, jeden ze znakomitszych artystów początku Odrodzenia, którym p. Muntz przywrócił zapomniane ich prawa i tytuły. Znajdujemy, na przykład, pod tą rubryką następane wyciągi, z oficjalnych watykańskich rejestrów: *Ioanninus de Dulcibus, Creditor Camerae, pro fabrica Capellae majoris*; *Joannes de Dulcibus Creditor Camerae pro expensis fabricarum Capellae majoris et Arcis, ac diversorum laborum in Palatiis factorum*.

Wokoło Syxtusa IV liczni Mecenasi okazywali sztukom pięknym, mniej więcej interessowną, lecz zawsze skuteczną, opiekę i zachętę. W tej liczbie znakomitych osób wymienić należy naprzód synowców papieżkich, następnie możnego i potężnego kardynała d'Estoutevill'a, arcybiskupa Rueńskiego, biskupa Ostiackiego, podkomorzego Świętego Kościoła, superintendenta służby edylicznej rzymskiej, spokrewnionego z królewskim Domem Francuzkim i kandydata do tronu papieżkiego. Jego to staraniem i jego kosztem wzniesiony został kościół i klasztor św. Augustyna w Rzymie i odrestaurowany wspaniale kościół S. Maria Maggiore. Kardynał Roderyg Borgia, który panował później, pod imieniem Alexandra VI, zapowiadał świetną i pełną artystycznego blasku epokę, otaczając się przepychem, wykwiutnego i wyborowego smaku. Kardynał Bessarion, nie poprzestając na reputacyi uczonego, kazał naprawić swym kosztem wytwornie i bogato kościół Świętych Apostołów; a wyborową i wspaniałą swoją bibliotekę przekazał później testamentem Rzeczypospolitej Weneckiej, swej ojczyźnie. Dodajmy tu jeszcze nazwisko kardynała Franciszka Gonzagi, syna Margrabiego Mańtuańskiego, zapalonego i biegłego zbieracza kamei, drogich kamieni rzeźbionych (*intaglie*) i medali, — które po śmierci tego kardynała przeszły do rąk jego współzawodnika w tym względzie, Wawrzyńca Medyceusza. Dodajmy jeszcze Tarnabuonich, owych bankierów, przedstawicieli Medyceuszów w Rzymie, których pamięć artystyczna pozostała w pięknych i dotąd

istniejących pomnikach i ozdobach, wykonanych w kościele Minerwy...

Ci wszyscy bogaci i światli protektorowie sztuk pięknych mieli na swe zawołanie, do ozdoby świątyni i pałaców, takich syncerzy jak: Verrochio, Mino z Fiesole, Polainuolo; malarzy takich jak: Melozzo z Forli, Ghirlandaio, Botticelli, Filippino Lippi, Perugino, Pinturichio, Signorelli.

Nie sam Rzym tylko wydał z siebie tak bogaty zasób doskonałych artystów; większa część ich przybyła tu z Florencyi: ale Rzym przyciągał ich ku sobie swym moralnym wpływem, wyciskał na ich pracy odrębne swe piętno, i często dawał jakby nowy kierunek wrodzonym geniuszom lub nabytym talentom...

Jeżeli potężne imiona Rafaela i Michała Anioła nie dozwalały opinii powszechnej i historykowi szukać gdzie indziej, jeno w owym świetnym XVI wieku, głównego i najpotężniejszego ogniska epoki Odrodzenia — to ludzie nauki i doświadczenia wiedzą przecież dobrze, że wiek piętnasty wypiełgnował ten pierwszy, młodzieńczy rozwój owej subtelnej rośliny, która miała się stać z czasem tak potężnym i silnym olbrzymem. Świetność następnej epoki, (XVI wieku), rzuciła nań, jakby cień swojej wyższości; dzieła i twory piętnastego wieku są dziś, po większej części, rozproszone po świecie, lub zniszczone nawet; ale pamięć jego wielkości żyje i trwa dotąd — i właśnie uczone i głębokie poszukiwania p. Muntza, tak obfite w bogaty, a dotąd nieznan nam, plon zebrany z tej epoki — przyczynią się do lepszego jeszcze uwytatnienia zasług epoki przedrafaelowskiej.

## KRONIKA DZIAŁALNOŚCI KOBIECEJ.

W Szkole Koronkarstwa p. Gabryelowej (Ulica Krakowskie-Przedmieście, Bank Dyskontowy), zapisało się na bieżący rok szkolny uczennic 100, przytem 20 dziewcząt z ochrony pobiera tam naukę koronek. Zastęp to, podobnie jak był w roku zeszłym, już znaczy; że zaś nauka jest dla wszystkich bezpłatną, dobrodziejstwo to dla naszego miasta tem większe, bo każdy nowy przemysł nie łatwo daje się u nas krzewić. Nie dowierzają mu, czy się opłaci, na naukę ryzykować nie chcą; łatwiej przecież odważa się ktoś na nią, gdy przychodzi bez kosztu, potem zaś występuje już zamiłowanie, chęć korzystania z uzdolnienia nabytego i nowa gałąź pracy przybywa, zatamowuje się jedno źródło wychodzenia za granicę grosza, którego kraj nasz nie ma zawiele.

W Piotrkowie, w szkole elementarnej dla dziewcząt, rozpocznie się nauka koronkarstwa od dnia 15 Stycznia roku przyszłego, po dwie godziny dziennie. Nauczycielką jest p. J. K.... Nauka rozpocznie się bardzo właściwie od koronek zwanych klockowemi, czyli gospodarskimi.

Malarnia p. Józefy Żdarskiej przeniesioną została z bieżącym rokiem szkolnym do obszernego i odpowiednio urządzonego lokalu przy ulicy Nowy-Swiat Nr 46. Kurs nauk i praca w zakładzie rozpoczęły się z d. 1 Września pod bardzo starannym, bardzo troskliwym kierunkiem utalentowanego artysty, malarza Alchimowicza. Uczennic, tak przychodnich jak pensyonarek, ma zakład 14; nauka wszelkiego rodzaju malowania: na porcelanie, szkłe, fajansie, majolice, srebrze, złocie, drzewie, słoniowej kości, skórze, płótnie, jedwabiu a obejmująca tygodniowo godzin 18, kosztuje miesięcznie rs. 8. Uczennice już uzdolnione wykonywają za odpowiedniemi wynagrodzeniem roboty, jakie zakład otrzymuje na obstarunek w zakresie wyżej wymienionego malowania. Przytem, przewodnicząca zakładu, p. Żdarska, otrzymała świeżo pozwolenie na urządzenie gabinetu artystycznego,

który w połączeniu z pracownią zakładu istniejąc, z d. 1 Stycznia zostanie otwarty i gdzie prace uczennie umieszczane będą w celu ułatwienia im zbytu. Gabinet przyjmuje również dla pośredniczenia w zbycie tak wszelkie dzieła sztuki, jak i wyroby, w których sztuka stosowaną jest do przemysłu, i to nie ograniczając się bynajmniej do prac wyłącznie kobiecych, ale przyjmując w ogóle wszystkie utwory artystyczne i artystyczno-przemysłowe. Obstalunki w zakresie wyżej wskazanym są także przez gabinet przyjmowane, zakład poręcza za staranność i należyte uzdolnienie w ich wykonaniu.

Z rozwojem w kraju naszym przemysłu połączonego z artyzmem otwiera się też w tym kierunku druga dla pracy kobiecej; w Nieborowie, w fabryce majolik księcia Radziwiłła, której skład przy ulicy Berga pociąga wzrok przechodniów pięknymi okazami, zajętych jest stale 20 malarzy, z których wyżej uzdolnione w swej sztuce mają pensje, jak na stosunki nasze, już wysokie, bo dochodzące rs. 800.

W Wilnie powstały trzy zakłady rękodzielnicze dla kobiet. Jeden, p. Lipińskiej, uczy roboty krawatów; dwa drugie: p. Kolałkowskiej i p. Ułasiewiczowej, krawiectwa, strojów, introligatorstwa, rękawicznictwa i kwaciarstwa.

P. z Kuczyńskich Dubicka otworzyła w Rydze kursa gospodarzo-naukowe dla panien, które ukończywszy średnią edukacją, pragną uzdolnić się do życia praktycznego w rodzinie. Kursa te obejmujące wykład kobiecego gospodarstwa domowego i folwarcznego, "poparte są szczegółowo nauką ogrodnictwa, gotowania, piekarstwa, prania chemicznego, oraz krawiectwa i strojów. Przytem wykłady higieny i pedagogiki uzupełniają to rzeczywiście praktyczne i pozytywne przygotowanie do życia czynnego; dalej czytanie najlepszych utworów tegoczesnej literatury z dodatkiem krytycznego na nie poglądu, ma za zadanie kształcić estetyczny smak uczenic i nauczyć ich bardzo ważnej rzeczy: jak zrobić sobie z dobrej książki środek ciągłego kształcenia umysłu a razem rozrywki szlachetnej i pokrzepiającej wśród trudów życia. P. Dubicka pisała w przedmiotach pedagogicznych i zajmowała się pedagogią praktyczną, więc jest dostatecznie uzdolnioną do dobrego pokierowania przedsięwzięciami.

Dzienniki polskie wychodzące w Ameryce donoszą, że Siostry Felicjanki, przybyłe do Ameryki ośm lat temu, mają obecnie siedm szkół elementarnych, wyłącznie polskich, a mianowicie: w Bay-City, Buffalo, Chicago, Otis, Polonii, Schemskin, Detroit. Przytem mają dwa domy sierot polskich: chłopców w Polonii (Stan Wisconsin) na sierot 35; w Detroit na takąż liczbę dziewcząt.

Rzeczpospolita Francuzka zajmuje w dziale dobroczynności publicznej znaczną liczbę kobiet, należących do rozmaitych zgromadzeń religijnych, tak w zakładach dobroczynnych, powierzając im miejsca inspektorek i dozorecznyń, jak i używając ich do służby zewnętrznej: do wyszukiwania biednych, do zwiedzania przedmieść i cyrkułów miasta, zamieszkiwanych przez ludność ubogą i pracującą, o stanie której zdają raporty. Uważając je też za urzędniczki państwa, rząd francuzki płaci im pensje. W Auxerre, w czasie panującego tam tyfusu, gmina miejska prosiła o przywrócenie im Sióstr Miłosierdzia, które Rzeczpospolita wydalila z obsługi szpitali państwa.

Paryzka szkoła narodowa rysunku udzieliła czternaście nagród kobietom, za malowanie olejne, malowanie na porcelanie, miedziorytnictwo, rzeźbę, modelowanie i anatomia.

W Ameryce zmarła, w Wheeling, w seminaryum Chantal, siostra Agnieszka (Ludwika Giubert), sławna z głosu, który według Liszta i Rubinsteina był obecnie najpiękniejszym i najdoskonalej w całym świecie wyrobionym. Już w dziesiątym roku głos ten zwrócił uwagę i rozpoczęła naukę śpiewu od znakomitego włoskiego nauczyciela Perilli, a gdy nadzieja, która budziła jako dziecko, ziściła się dla dorosłej dziewczyny, gdy sława i wielki majątek były już dla niej pewnością, nagle dwudzie-

stoletnia wstąpiła do klasztoru i nie dała się już odtąd słyszeć nigdzie, prócz na chórze swego kościoła. Wszyscy europejscy mistrze muzyki, przybywający do Ameryki, śpieszyli, aby słyszeć i poznać ukrytą pod welonem i habitem sztukmistrzynię. Udzielała lekcji śpiewu tylko w szkole klasztornej; była przytem znakomitą wirtuozką na fortepianie i harfie.

Amerykańskie pisma donoszą o śmierci Belly Boy, sławnej w czasie amerykańskiej wojny Północy z Południem. W czasie wybuchnięcia wojny, Bella Boy, młoda i bardzo piękna panna, poświęciła się służbie Stanów Północnych jako szpieg i przedzierała się przez szeregi konfederatów Południa, przebywała między nimi, aby następnie wracać do obozu Północnych, z ważnymi wiadomościami. Odważna niezmiernie, była zarazem znakomitą amazonką, zdolną stanąć do wyścigów z najlepiej wywiczonymi jeźdźcami, co posłużyło jej nieraz dla ujęcia przed ścigającą ją pogonią. Przecież parę razy ujęta, umiała zawsze wyłomaczyć się i wydostać na wolność, bo generałowie konfederatów uwierzyć nie mogli, aby tak śliczna i wdzięczna dziewczyna poświęcała się podobnemu zawodowi. Wreszcie sława jaką sobie w niem wyrobiła, zuchwale chełpiąc się z czynów szalonej brawury przekonała Południowców, że Boy jest jednym z najniebezpieczniejszych ich wrogów. Po skończeniu wojny udała się do Anglii, poszła bogato za męża, ale wkrótce porzuciła męża, i przybierając napowrót panięskie nazwisko, założyła w Nowym Yorku teatr, gdzie grywała role tragiczne. Układała często sztuki lub obrazy z wypadków minionej wojny, aby w nich odżywiać pamięć bohaterskich dla niej czasów. Umarła nagle na zapalenie płuc.

Berlińskie Stowarzyszenie, mające na celu utrzymanie zdrowia w rodzinach (Verein für häusliche Gesundheitspflege), postanowiło przed kilku laty, wykształcić odpowiednio pewną liczbę kobiet na dobre pilnowaczki chorych po domach. Berlin, jak w ogóle całe Niemcy protestanckie, posiada zgromadzenie dyakonis, na wzór katolickich Sióstr Miłosierdzia urządzone i także charakterem religijnym odziane, któremu bywa powierzona piecza nad chorem w szpitalach i lazaretach wojskowych; że przecież tak samo, jak to ma miejsce i z Siostrami Miłosierdzia, rodziny tylko wyjątkowo mogą z dobrodziejstwa tego korzystać, potrzeba świeckich, specjalnie uzdolnionych pilnowaczek skłoniła wspomniane stowarzyszenie do zaradzenia brakowi, bardzo dla wielkiego miasta ważnemu. Wysłano zatem na odpowiednią naukę do uniwersyteckiej kliniki profesora Es-march w Kiel, siedm pań, resztę umieszczono w berlińskich szpitalach, a przysła ich przełożona, panna Fuhrmann, udała się do Londynu i w Szkole Pilnowaczek, imienia miss Nightingale przy szpitalu św. Tomasza, oraz w zakładzie *Pilnowaczek chorych ubogich* uczyła się praktycznie, jak takie zgromadzenie świeckie urządzać i rozwijać się powinno. Obecnie p. Fuhrmann wróciła do ojczyzny i dom berlińskich pilnowaczek, noszący nazwę *Victoria-Haus*, zostaje otwartym przy ulicy Steinmetzstrasse, gdzie Zgromadzenie pilnowaczek świeckich, ślubem religijnym niezwiązanych, przebywać będzie i gdzie zarazem urzędowaniem zostaje schronienie dla tychże pilnowaczek, wiekiem lub chorobą złamanych i do pracy w zawodzie swoim już niezdolnych. Jest to przecież, jak Stowarzyszenie Zdrowia ogłasza, urządzenie tymczasowe; jeżeli bowiem instytucja ta, bardzo potrzebna, rozwinię się pomyślnie, urzędowym zostanie oddział drugi: *Pilnowaczek chorych ubogich*.

## ZYCIE W CHINACH I JAPONII.

przez

A. Dubard'a.

(Dokończenie)

Chińczyk usiłuje wierzyć, iż znajduje się jeszcze w czasach swej dawnej świetności i chwały; żyje jak we śnie wśród znieruchomiałego społeczeństwa, jakgdyby skamieniałego od wieków. Daremnie im kuć panczerze: oni zawsze zachowują swoje tarcze ze smokami; dostarcza im się gwintowanych strzelb, armat z tyłu nabijanych, wskazuje się bezustannie z wytrwałością i staraniem, których zresztą wcale nie umiem sobie wyłomaczyć, wyższość naszych ryszunków wojennych, naszej administracji, naszego ubrania, naszych mód: oni wracają do swych skałkowych rusznic, pozwalają rdzewieć armatom, zginają wiecznie plecy pod bambusem łupieżczych mandarynów, zachowują swój niewygodny strój — i Chińczyk pozwoliłby sobie raczej ściąć głowę, aniżeli wyrwać jeden włos z narodowego warkocza. W zamian przecinają druty naszych telegrafów i psują koleje żelazne pod pozorem „przerwanych harmonij“ i uwłaczania grobom przodków. Jednym słowem, Chińczyk jest to istota zupełnie niepoprawna. Czy chcą nas oni zwiędzić? Czy oszukują się sami? Zdaje mi się, że na obydwie te pytania można tak odpowiedzieć: — zamykają oczy na postęp, chcąc za wyższych ponad niego uchodzić i odgrywają sumiennie rolę Chińczyków z dawnych wieków. Ale nie potrzeba przebywać długo w Chinach, aby poznać prawdziwy stan rzeczy i zdjąć maskę z tego zdziennialego narodu. Pomiędzy Chińczykiem dni dzisiejszych, a Chińczykiem z wieków Laocego i Konfucjusza niema rzeczywistego podobieństwa; jest tylko powierzchowne.

Szangaj jest jedyne na świecie miastem, gdzie znaleźć można najserdeczniejszą, najszczerszą gościnność. Tam nie czekają, tak jak we Francji, odwiedzin od przybywających; miejscowi właśnie czynią pierwsze kroki, — co, mojem zdaniem, jest nader logicznem.

W Październiku rozpoczyna się w Szangaju nieskończony ciąg zabaw: prozone obiady, bale, wyścigi, polowania, teatralne przedstawienia, następują po sobie długim szeregiem, tworząc, w całym znaczeniu tego słowa, życie światowe. Nie mogliśmy wybrać lepszej pory.

— Przyjdźcie na wyścigi! — mówiono nam, — odbędą się za tydzień; ale nie omieszkajcie być koniecznie: zobaczycie tam bowiem w całym komplecie i świetności strojów towarzystwo szangajskie. Jestto pole popisania się z najpiękniejszymi sukniami paryzkimi, przywiezionymi przez ostatni pocztowy parowiec; tam będziecie mieli sposobność podziwiania wszystkich młodych i ładnych kobiet, mieszkających w Szangaju. — Nie pozostanie tego dnia w domu ani jedna.

Wyścigi konne odbywają się wszędzie na dalekim Wschodzie, gdzie tylko są kolonie angielskie. Dwa razy na rok, na wiosnę i w jesieni, w dniu wczasu oznaczonym, a cierpliwie oczekiwanym, *high-life* spotyka się na torze wyścigowym. Więc też w dniu 15 Października, pomimo chłodnej już nieco pory, lecz przy świetnie sprzyjającej pogodzie, na polu wyścigowym gromadził się olbrzymi tłum; tak zwane wyższe towarzystwo zjeżdżało się powozami, mniej zamożni przybywali w krajowych kolasach. Nieprzeliczone gromady ucieszonych Chińczyków oblegały baryery, oczekując z niepokojem i niecierpliwością rozpoczęcia widowiska, które odbyło się wystawnie, a bez wypadku.

Od Września, a szczególnie podczas mroźnej,

zimowej pory, polowanie w Chinach jest jedną z najlubiejszych dla Europejczyków przyjemności, ale też i jedną z najkosztowniejszych.

W państwie Synów Nieba, tak samo jak we Francji, nie każdy poluje, kto chce, i jeżeli nie koniecznie żądaniem jest pozwolenie, jak naprzykład w Japonii, gdzie od roku 1876 wymagają go bezwarunkowo i gdzie się je oplaca bajecznymi summami, to znów w Chinach samo przygotowanie do polowania jest tak kosztowne, że tylko bardzo bogaci ludzie mogą sobie na ten zbytek pozwolić.

Okolice miast zamieszkałych przez *Psów Zachodu*, przez *Barbarzyńców*, niegdyś bardzo obfitujące w zwierzynę, dziś są z niej zupełnie ogolone, i dlatego na polowanie trzeba się udawać daleko, w głąb kraju; a ponieważ drogi są tam wogóle niemożliwe do przebywania: trzeba więc podróżować na łodziach, ku czemu są już osobne statki, zwane łodziami myśliwskimi. Wynaleźli łodzie te Anglicy, mistrze w kwestyi wygody, i dlatego też zasługują one na szczególne opisanie.

Łódź myśliwska jest to długie, płaskie czółno, na środku którego wznosi się rodzaj pałacyku, rozdzielonego na trzy części: jedna z tyłu czółna, przeznaczona dla załogi i pomieszczenia kuchni; przedział środkowy stanowi pokój sypialny — z dwoma łózkami; a salon jadalny, znajdujący się na przodzie statku, urządony jest w ten sposób, aby, siedząc przy stole, korzystać można zarazem z widoku przesuających się krajobrazów. Tego rodzaju łodzie są także do wynajęcia, lecz przez cały przeciąg polowania męczyć się na nich potrzeba, doświadczając wszelkich niewygód — prywatne zaś urządzone bywają z wielkim przepychem. Miękkie kobierce, ciepłe futra, bogate obicia: niczego tam nie brakuje; kredens i spiżarnia odpowiednio się też zaopatrują. Załoga składa się z licznej służby o długich warkoczach; wiosłarze, holownicy, tragarze, kuchty i służba pokojowa — wszystko to łatwo się mieści na pokładzie, w dzień też, oprócz ludzi zajętych w kuchni. Reszta towarzyszy myśliwym i nosi zabita zwierzynę; jednak wieczorem, gdy dwóch tylko wiosłarzy po kolei holuje łódź ciągnąc ją na linkach, lub popychając przy pomocy długich wiosel, wszyscy inni lokują się cudownym jakimś sposobem w kuchni, wokoło do czerwoności rozpalonego pieca, zupełnie jak sardynki w blaszanym pudełku.

Chiny posiadają bardzo obfitą faunę. Skutkiem tego polowania dają łup obfity.

Gdzie jest więcej zwierzyny, tam mniej musi być owych myśliwych, rozpowiadających cuda o swem powodzeniu, którzy w Europie stanowią osobną klasę ludności — ze wszystkich może najmniej liczniejszą. Ów stan pomysłowy polowania ma wszakże w Chinach stronę odwrotną.

Część olbrzymiego kraju przecina mnóstwo strumieni, tamujących drogę. To wszakże jeszcze nie stanowi głównej niedogodności: — prawdziwą przykrość dopiero sprawia bezustanne spotykanie śmiertelnych szczątków ludzkich, porzucanych śród pola. Na północy, jak się mogłem o tem przekonać w Cze-Fu, są miejsca przeznaczone na grzebanie, ale na południu i w okolicach środkowych nigdzie niema cmentarzy, ciał nie grzebią wcale; każdy składa smych zmarłych wśród pola, w trumnie lepiej lub gorzej skleconej; ludzie bogaci wznoszą jeszcze ponad trumną rodzaj mrowianego pomnika; biedni zadawalniają się postawieniem słomianego dachu, lub też nie osłaniają trumny niczem. W krótkim czasie mury się rozpadają, słomiany dach nikt nie i trumny, wystawione na zmianę powietrza, rozsypują się w proch. Wieśniak, uprawiając pole, potraça co chwila o czaszki i piszczelce: są to kości jego dziadów. Niekiedy pobożna ręka zbierze te szczątki i złoży, zmieszane w jedno, w urnę glinianą; więc też co chwila potykasz się i przewracasz, mijając te wiejskie grobowce.

Część dla przodków istnieje w Chinach niezawodnie: słyszałem to przecież powtarzane na wszystkie tony i zbyt często czytałem, aby nie miało być prawdą. Jednakże patrząc na obojęt-

ność, z jaką Chińczycy obchodzą się ze zwłokami swych bliskich, możnaby o tem powątpiewać i sądzić, iż z ową czcią dla przodków jest to samo, co z tyłu innemi zwyczajami w kraju Konfucjusza, gdzie zwolna przechodzi wszystko w stan legendy.

Pomimo przeszłokół polowaliśmy wśród tego cmentarzyska z zapalem podniecanym światłem powodzeniem. Każdego wieczora Chińczycy nasi powracali zgarbieni pod ciężarem ubitej przez nas zwierzyny, zawieszanej na długich bambusach. Każdy taki bambus niosło dwóch ludzi na ramionach, a kiedyś obliczali łupy nasze na pokładzie łodzi admirałkiej, dochodziliśmy do liczb, których wolę nie wymieniać, aby niebyć posądzonym o przesadę.

Trzeciego dnia przepłynęliśmy obok wielkiego miasta *Suchow*, zbudowanego nad brzegiem *Jan-Lean-ho*, czyli cesarskiego kanału. Miasto to, na wpół w zgliszczach i gruzach, zniszczone przez *Taipingów*, zatrzymało dziś zaledwie cień dawnej swej świetności z owych czasów, gdy kanał cesarski, potężne dzieło Synów Słońca, ciągnący się przeszło sześćset mil, łączył bezpośrednio północ z południem i zgarniał do Pekinu, wielkiej stolicy, tysiączne plody rolnictwa i przemysłu Niebieskiego Państwa „Środka“.

*Suchow* dziś jeszcze daje wyobrażenie dawnej swej świetności, ale zarazem wykazuje stan rozkładu, jakim są Chiny dotknięte, wskutek czego prędzej czy później muszą umrzeć.

Zimą i początek lata przepędziliśmy w Szangaju.

Pewnego wieczora, gdy powracałem z Barrotem z jakiejś zamiejskiej przechadzki, spostrzegliśmy na pokładzie okrętu niezwykle ożywienie. Przy drabinie nie spotkał nas, jak zawsze, officer służbowy; na twarzach poczciwych majtków malowała się wielka radość. Widocznie coś zająć musiało.

Na pokładzie, od tyłu okrętu, przechadzał się *Gastinet* z kapitanem.

— Panowie — rzekł ten ostatni, ujrzawszy nas — powracacie z wybrzeża: nie wiecie więc dobrej nowiny... Odpływamy do Francji. Przed dwiema godzinami otrzymałem depeşe od admirała, oznajmijającą nam wyzwolenie. Udamy się w drogę za dni cztery: przygotujcie się więc i pożegnajcie znajomych.

W dniu oznaczonym wypłynęliśmy z przystani.

Od dwudziestu czterech godzin *Skrzydlaty*, uciekając od wybrzeży *Jang-ce-Kiang*u, pędził całą siłą pary po głębokich falach oceanu.

Życie marynarskie, tak monotonne, a zarazem tak ruchliwe, znów się rozpoczęło, z wielkiem niektórych officerów zadowoleniem. Każdy obejmował z pewnego rodzaju przyjemnością pracowite swe obowiązki, systematycznie i ściśle wyznaczane, a zwykle nieco zaniedbywane podczas wystawiania okrętu na kotwicy.

Pogoda była przepyszna. Statek nasz, ze zwinietami wszystkimi żaglami, przy pomocy tylko potężnej swej maszyny parowej, płynął dwanaście mil na godzinę. Na morzu żadnej fali, żadnego bałwana: oliwkowe morze, jak mówią *Prowansalczy*cy.

W takich warunkach zawód marynarza jest wistocie wyborny, tylko znów, gdy podobna cisza przedłuża się zbyt długo, staje się rozpaczliwie monotonnym.

Przy sprzyjającej pogodzie w miesiąc, co do dnia i godziny, od wypłynięcia z Szangaju, po rozlicznych wycieczkach w portach, przybiliśmy do *Pointe de Galles*, a w trzy tygodnie później, na głównym maszcie wywieszono sygnał oznajmiający ukazanie się stałego lądu; to była Francja, port *Lorient*.

## WIADOMOŚCI

Literackie, artystyczne i naukowe.

Praca komitetu do pamiątkowego wydania dzieł *J. Kochanowskiego*. Edycja in 4-to, oddana już do druku. Otwarcie prenumeraty. Zachęta byłaby ujmą. — *Album Napoleona Ordy* i 260 widoków polskich.

— Czynnym od lat trzech w Warszawie *Komitet pamiątkowego wydawnictwa Dzieł Jana Kochanowskiego*, złożony z pp. *Przeździeckiego* *Konstantego*, *Przyborowskiego* *Józefa*, *Jenikego* *Ludw.*, *Kryńskiego* *Ad. Antoniego*, *Plenkiewicza* *Romana* i *Włoszka* *Tadeusza*, uzyskał już fundusz na druk i papier i, oddawszy pierwsze arkusze do druku, ogłasza obecnie prenumeratę na wydanie większe, czterotomowe in 4-to, w kwocie 10 rubli w Warszawie, 12 rs. w Królestwie i w Cesarstwie; 15 zł. reń. w Galicji, a 24 marek w W. Ks. *Poznańskim*. Należność prenumeracyjną składać można częściami: przy tomie I rs. 5, przy tomach II i III po półtrzecia (*resp* 3), we wszystkich główniejszych księgarniach krajowych i zagranicznych, oraz w Redakcyach czasopism. Wydanie in 4-to, z zapowiedzi wnosząc, słusznie będzie się mogło nazwać pomnikiem. Mielśmy próby opracowania uzasadniającego powyższą nadzieję, a wskazówką staranności o stronę zewnętrzną jest okoliczność, że *Dzieła* odbite będą w formacie poważnym bibliotecznym, drukiem elziewirowym, na papierze żółtawym, satynowanym.

W skład tego wydania wejdą wszystkie utwory polskie i łacińskie, wierszem i prozą, tak, że nowy zbiór będzie zupełniejszym od wszystkich poprzednich. Do brzmienia łacińskiego dodany zostanie przekład polski. Objaśnienie miejsc ciemnych pod względem treści lub języka, ocena pięknotwórcza, przypomnienie ważniejszych rysów z historyi, potrzebnych dla zrozumienia samej poezyi i stosunku jej do rzeczywistości — wzorem podobnych komentarzy w zagranicznych wydaniach *klassyków* łacińskich i greckich, — znajdują się przy każdym utworze.

Tak pojęty, a odpowiednio do pojęcia wykonać się mający, zbiór dzieł *Jana Kochanowskiego*, w wydaniu, które sam komitet nazywa *pomnikowym*, wzbogaci się jeszcze: 1) biografią, charakterystyką krytyczną twórczości i rozbiorem utworów; 2) bibliografią wszystkich wydań; 3) rozprawą o języku; 4) rozprawą o budowie i metryczności wiersza *Kochanowskiego*; 5) rozprawą o domniemanym wizerunku poety; 6) słownikiem mającym zrozumienie osnowy poetycznej ułatwić.

Ozdobią wreszcie wydanie: podobizna *Kochanowskiego*, wyobrażenie pomnika jego w *Zwoleniu*, podobizna własnoręcznego listu poety (jedyne, jaki dochował się do naszych czasów), naśladowania kart tytułowych z pierwszych wydań i wreszcie nuty melodii *Mikołaja Gomołki* do *Psalmów*, przeniesione na klucz dzisiejszy.

Pracę nad wydaniem pomnikiem podjęły dwadzieścia trzy osoby, których listę alfabetyczną podaje prospekt na rozpoczęte wydawnictwo. Nadto p. *Poliński*, jako dwudziesty czwarty współpracownik, dokona przeniesienia melodii z dawnego klucza muzycznego.

Obok wydania pomnikowego będzie mniejsze, popularne, w 2 tomach, in 8-vo „z niektórymi opuszczeniami“. Oczywiście: w wydaniu przeznaczonym dla wszystkich opuszczenia są niezbędne. Utwory łacińskie wystąpią tu w przekładach *Brodzińskiego* i *Syrokomla*.

Portretu *Kochanowskiego* nie znaleziono dotychczas lepszego i wiarogodniejszego nad *Zwoleński*. Co to za portret? dość powiedzieć, że nawet pisarz tak spokojny jak *Rymarkiewicz*, nie umie ukryć gniewu na jego widok.

Ublżylibyśmy rodakom naszym, gdybyśmy ich zachęcali do praktycznego, czynami dowodzonego, poparcia obu wydań pamiątkowych Dzieł Kochanowskiego.

— P. Napoleon Orda doprowadza już do końca pracę, która jemu samemu starość ozdobi a ziomkom jego niejedną przyjemną chwilę. Sędziwy wędrownik z ołówkiem w ręku oddał ostatnią seryę *Albumu widoków Polski* zakładowi litograficznemu Fajansa w Warszawie, dla stosownego odtworzenia; przedostatnią zaś, siódmą z rzędu, wypuścił niedawno w świat. Serya ta obejmuje trzydzieści widoków z Królestwa Polskiego. Po przejrzeniu jej z zadowoleniem zaznaczamy staranność wykonania litograficznego, które ją stawia ponad poprzednie; szkoda tylko, że w podpisach objaśniających rysunki, w dwóch językach: polskim i francuzkim, nie panuje większa poprawność i lepsza charakterystyka historyczna.

Zasłużony wydawca zbioru, przebiegłszy cały obszar dawnej Polski, z całego też tego obszaru zabytki wprowadził do swego *Albumu*. Dwadzieścia trzydzieści widoków dotychczas wydanych: jest na co patrzeć.

Wobec swobodnie rozpościerającego się zniszczenia, dla braku zorganizowanej opieki, jaką tylko państwo zapewniać może, wydawnictwo Ordy spełnia coś więcej nad zaspakajanie nawet tak chwalebnej ciekawości, jak chęć poznania rzeczy swoich: *Album* ma przechować na przyszłość ogólne przynajmniej kształty zabytków, bądź to związanych z ważnymi wydarzeniami narodowymi lub ludźmi sławnymi w narodzie, bądź też przypominających wielkość dawnych, w części zaginionych już, rodów.

Cztery pierwsze serye zawierają 140 widoków słynniejszych miejscowości, pomiędzy Niemnem i Bugiem a Dźwiną i Dnieprem; serya V poświęcona jest widokom Poznańskiego; serya VI Galicyi, serya VII i VIII zajmuje Królestwo. Wszystkich widoków w *Albumie* będzie 260. Ostatni ciąg wydawnictwa ukaże się w środku przyszłego roku. Każdą seryę nabywać można osobno, niezależnie od innych. Każdy dom zamożniejszy, dla którego wydanie kilkudziesięciu rubli jest zabawką, ma obowiązek zaopatrzyć się w pełnię *Albumu*, jeśli nie dla użytku starszych, to dla młodszych. Oglądanie tych dwustu kilkudziesięciu kart jest dla młodego umysłu rodzajem podróży historycznej.

## DROBNE LISTKI.

**Opinia Herberta Spencera** o Ameryce, ogłoszona w *New York Herald*, należy do rzeczy bardzo ciekawych. Spencer wyjechał do Ameryki, gdzie przebywał całe ubiegłe lato, na odpoczynek, ale umysł to zbyt postrzegawczy, zbyt żywy, aby mógł przénzwać, i sąd jego o społecznym i ekonomicznym stanie Ameryki zasługuje na uwagę. Spencer przyznaje, że to, co widział w Stanach Zjednoczonych, przechodzi owiele przypuszczenie jego pod tym względem i pisze: — „To, com czytał o Ameryce, nie dało mi jednak dostatecznego pojęcia o niezmiernym rozwoju cywilizacji materialnej, której ślady widnieją tu wszędzie. Rozległość, bogactwo i wspaniałość waszych miast ogromnych, zdziwiła mnie głęboko i bezwzględnie pod względem mechanicznego zastosowania wynalazków nowoczesnych, Amerykanie posunęli się najdalej ze wszystkich ludów świata. Gdyby postęp moralny szedł u was w równej mierze z postępem materialnym, nic-by nie zostawałojam do życzenia. Pewnego dnia, gdym zastanawiał się

nad tem, com u was zobaczył, gdym myślał o waszych ogromnych zakładach przemysłowych i handlowych: o tłumach ludzi krążących, bezustannie na waszych przewybornych wozach i jeżdżących waszemi kolejami nadpowietrznymi, o waszych olbrzymich hotelach i wspaniałych pałacach *Piętej alei* <sup>1)</sup>, przypominały mi się nagle średniowieczne republiki włoskie, i przyszło mi na myśl, że wtedy, gdy ich czynność przemysłowa przybierała coraz to większe rozmiary, gdy ich sztuka stawała się przedmiotem uwielbienia i zazdrości całej Europy, gdy budowali te książęce pyszne gmachy, które dziś jeszcze podziwiają podróżnicy — ich lud coraz to niżej upadał i tracił stopniowo wolności swoje“.

„Otóż, zdaje mi się, że znajdujecie się właśnie na tej samej ochyłości. Zachowujecie jeszcze formę rzeczy zewnętrznej, ale utraciliście bardzo wiele z treści samej. Choć się to nie dzieje u was z pomocą jawnego gwałtu, ale odbywa się to na drodze innej“.

Spencer wykazuje brak moralności publicznej, która tu działa zapomocą przekupstwa i interesu osobistego przy głosowaniu. Ten interes, materialny jedynie, decyduje o wszystkim: i w ten sposób naród amerykański jest wzięty w jarzmo wyzyskującej go szajki, która czyniąc go narzędziem wyniesienia się swego, opanowuje go tak zupełnie, jak możnowładcy średniowieczni opanowali miasta włoskie.

Spencer uważa, że nietylko oświata sama przygotowuje człowieka do szlachetnie pojętych obowiązków dobrego obywatela. Charakter, to jest wyrobienie moralne, obyczaje uczciwe, stawia on na pierwszym i najwyższym miejscu. Czy ci, którzy nikczemnie skierowali Amerykę na drogę olbrzymich kradzieży, oszustw politycznych i prywatnych, są to ludzie ciemni i bez wykształcenia umysłowego? Czy wykształcenie, które choć w pewnym stopniu posiadać muszą, ustrzegło jednak ich samych od spodenia i nieuczciwości? pyta myśliciel angielski i daje tym sposobem świadectwo wielkiej prawdy, że ponad wszystkim: ponad oświatą, ponad cywilizacją — stoi wyżej uczucie moralne, moralna człowieka odpowiedzialność — sumienie jego.

**Piotr Kiełbasa** z Chicago wystąpił jako jeden z kandydatów tego miasta do godności senatorskiej i ma za sobą bardzo poważne szanse powodzenia. Urodził się on w Szlżku Górnym, w wsi Swibinie; niedużym chłopcem, wyemigrował z rodzicami do Ameryki w 1855 r. i osiadł w Texas, w polskiej kolonii „Panna Marya“. Ludzie byli ubodzy i musieli pracować ciężko; syn pomagał ojcu uprawiać w pocie czoła w pół dziki folwarczki i uczęszczał do szkoły tylko wieczorami, bo w dzień nie miał czasu na naukę, w której robił jednak szczególne postępy, i po upływie lat kilku został nauczycielem w polskiej szkole gminnej Panny Maryi. W 1863 r. wszedł do służby wojskowej; w 1864 r. został kapitanem 6-go pułku kawalerji. Po skończonej wojnie był urzędnikiem w wydziale marynarki; w 1876 r. wybrany został do wydziału prawodawczego w Illinois, gdzie dał się poznać z bardzo zaszczytnej strony, co teraz daje zasadę jego nadziejom i uprawnia sięganie po senatorskie krzesło. Postać to do historyi naszego *Self-Help'u*. Obok Kiełbasy, który według gwary szlżkiej, pisze się: Kiolbasa, drugi Polak, Klup, znajduje się na liście kandydatów na urząd z wyborów do wydziału prawodawczego.

Wśród amerykańskich naszych kolonii ważną rolę gra duchowieństwo, pełniące iście rolę apostołów, wobec ludności wiejskiej, która w ogóle niemal jest ciemną i biedną, przez skupiający węzeł

religij, oni bronią jej od zatracenia narodowości swojej; zakładają szkoły, stowarzyszenia, budują kościoły i domy zebrani. Na zjeździe gmin polskich, który odbył się w bieżącym roku w Buffalo, odezwę zjazdu podpisało 21 proboszczów Polaków. Ci wszyscy mówią i piszą dobrze językiem ojczystym, co ma tu wielkie, ogromne znaczenie.

Irlandya zaczyna silnie pracować nad podniesieniem i rozpowszechnieniem języka galijskiego, i literatura wzmaga się z wielką i zadziwiającą szybkością. Irlandya myśli i o teatrze narodowym, wskutek czego przetłómaczono i wydano już zeszlęj zimy „Hamleta“, „Króla Leara“ i „Macbetha“, obecnie zaś wyszedł z druku „Otello“, oraz „Romeo i Julia“. Język irlandzki, jakkolwiek przez długie wieki zepchnięty na poziom gwary ludowej, ma jednak w pieśniach bardów złożone wyrobienie swe wyższe, zdolne do oddania uczuć wzniosłych i niepospolitych. Nie jest to przypuszczeniem bezzasadnym, że jak za naszych już czasów Czechy, tak Irlandya wskrzesić może do życia ojczysty język. Zabił go niegdyś zakaz drukowania w nim książek i przy zamkniętem tak źródle odświeżania się literackiego myśli irlandzkiej, musiano się zwrócić z konieczności do książek angielskich, i tak mowa obca wyrugowała w Irlandyi język własny. Wspaniale bolesnym jest wiersz Moore'a, wołający: — „O pieśni! pieśni moja zdradziecka i wiarołomna! nawet wtedy, kiedy się modlisz, nawet wtedy kiedy przeklinasz, odzywasz się mową Saxonów, językiem wrogów“.

**Dzieła Kossutha** mają się ukazać wkrótce na półkach księgarskich, na warunkach ugody zapewniającej mu, wedle włoskiej *Rassegna*, po tysiąc franków za arkusz druku i połowę czystego zysku z ogólnej rozprzedaży.

**Glob francuzki** zamieścił artykuł rozumowany, w którym wykazuje, że jeżeli przyrost ludności francuzkiej nie wzmoże się i będzie dłużej tak słabym jak obecnie, Francya kędzie musiała wkrótce być zaliczoną do narodów pomniejszych znaczenia. W interesie Francyi leży wcielanie w siebie jaknajwiększe przybywających do niej wychodźców zagranicznych. Stowarzyszenie *Assistance Publique* wydaje na ten cel 40,000 franków, przeznaczając je na zbieranie opuszczonych dzieci belgijskich, które stowarzyszenie wychowuje. Stanom Zjednoczonym Ameryki wychodźstwo przyniosło od 1820 do 1880 roku 10,136,000 ludności, zamienionej już obecnie na stałych obywateli amerykańskich.

## OD WYDAWCY.

„Bluszcz“ w przyszłym roku wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratom z prowincji przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknienia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się dokończenie powieści pod tytułem: **Żelazo**; oraz 1-szy arkusz powieści pod tyt.: **Aż do śmierci**.

1 Najpiękniejsza ulica Nowego Yorku.

**TREŚĆ.** Książki dziecinne, przez M. I. — Pozytywizm w praktyce, powieść, (dalszy ciąg), przez Sewera. — Nowiny paryzkie, (dokończenie). — Kronika działalności kobiecej. — Życie w Chinach i Japonii, (dokończenie), przez Dubard'a. — Wiadomości naukowe, artystyczne i literackie. — Drobne listki.